



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. i sgr. 20.

ANNA Z LEWICKICH

KRAJEWSKA.

Moralna historia nasza może dać kobiecie polskiej świadectwo to zaszczytne, że przez cały długi szereg wieków przedstawiała ona zawsze typ kobiecości szlacheckiej. W rodzinie pełna cnót czysto-niewieścich, uczuć tkliwych i słodkich, przy idei obowiązku aż surowo stojąca, umiała niemniej poczuć się do powinności obywatelskich w wysokim znaczeniu tego wyrazu i legendowa postać Wandy, królowej, kapłanki a w końcu ofiary poświęconej, już przy zaraniu dziejów stawia ideał taki przed kobietą naszą, która też chyba w jednej Rzymiance moralny swój prototyp znaleźć może. I ta, i tamta może zarówno mieć na grobowym swym kamieniu napis wyrity, że domu strzegła, wełnę przędła a potem naraz w chwili wyrocznej nieszczęścia, potrzeby krajowej, poczuła się nagle do powołania służby obywatelskiej i w szeregu swoim, tuż obok szeregu mężów stawała. Nawet w XVIII stuleciu, gdy wraz z całym narodem i ona na niższy stopień moralnego poziomu zstępowała, jeszcze uczucia tego, tradycyjnie w niej wyrobionego, nie zagubia i często ona to jest, która iskrę niemającego nigdy zagasnąć ognia cnoty publicznej krzesze, a zawsze już tam, kędy ją roznieconą ujrzy, urnę—choćby z własnego serca uczynioną—podaje, aby ją przyjąć i jak Westalka Rzymska od zagaśnięcia bronić. Trembowła, to tylko nazwa geograficzna, a nie jakiś jeden, szczególny punkt na obszarze naszym; setki, tysiące ich jest choć coraz-to z fabulą inną, i można śmiało powiedzieć, że kobiet, które prócz cnót rodzinnych zasługami publicznymi udostojnione były, nie brakowało u nas nigdy.

Dla pokolenia naszego przez rachubę czasu najbliższa grupa kobiet takich, to te, które Żmichowska przy redakcyi dzieł Hofmanowej (Warszawa, 1876 r.) w *Słowie przedwstępem* (Tom VIII, str. 207) *Entuzyastkami* nazywa. Nie było to stowarzyszenie, jak Żmichowska zapewnia, i jak wiemy wszyscy, bo się te kobiety same „żadną odrębnością, żadnym cechem szczególnym nie uznawały”. Miały tylko wspólne ideały i pragnienia, wspólne serce i dusz potrzeby, obowiązku obywatelskiego uczucie, i zaciągawszy się też w jego służbę, spotykały się następnie przy pracy i, naturalnie, wiązały się ze sobą węzłami przyjaźni, stosunków bliższych, życzliwości i pomocy siostrzanej. Żmichowska, która była ich słońcem, ukochaniem i naczelniczką moralną, wymienia we wspomnionem *Słowie przedwstępem* kilka nazwisk. Z tych czytelnicy pisma naszego znają w zarysie miniaturowym postacie: szlacheckiej między szlacheckimi Emilii Goślin; Waleryi z Biłgorajskich Lewickiej, o której Żmichowska we wspomnianem wyżej *Słowie* pisze: „ta aż do śmierci wierna sługa cierpień, niedostatku i smutku bliźnich, ta prawdziwa, bez habitu nasza Siostra Miłosierdzia”; Anny Skimborowiczowej, której idealnie piękną sylwetkę ukazała Żmichowska we wstępie do *Poganki* pod zmienionem imieniem Emilki; Zofii z Kamińskich Węgierskiej, tam również odmalowanej przez nią, pod mianem Augusty w obrazku, nałożonym świętnymi, gorącymi farbami. Niedawno śmierć zawezwała do siebie jedną z bardzo już szczupłego ich gronka: w d. 18 zeszłego miesiąca umarła Anna z Lewickich Krajewska.

Urodzona w 1816 r. we wsi Żurawicach, w Grodzieńskim, ujrzała światło dzienne pod dachem takiego wiejskiego dworu, jakie opisuje poeta, dworu stojącego:

„Wśród pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłaczanych pszenicą, wysrebrzanych żytem”.

I podobnie jak w owym dworze poety, jak we dworze p. Wojskiego, bywało tam zawsze gwarno i ludno, bracia powiatnicy zajeżdżali chętnie w otwarte im gościnnie wrota i dziecko, rosnące, widziało ojca, pełniącego cześnikowski niby urząd zbliżania serc i myśli ludzkich, słuchało rozmów starszych, jak Gertruda Szyllerowska i podobnie jak ona brało sobie w pamięć, brało w duszę to zasłyszane, gdy nagle piękny ów początek młodego istnienia miesza boleść i żaloba: dwunastoletnia dziewczynka traci matkę i dla staranniejszej opieki kobiecej zostaje oddaną przez ojca w dom krewnych i przyjaciół, w dom marszałkowstwa Biłgorajskich, we wsi Glinniki, gdzie znajduje się wśród takich samych warunków i wpływów, jak w domu rodzicielskim. Widuje dużo ludzi, słyszy dużo głosów, otwiera sobie serce do uczuć gorących i zawiązuje bliższy węzeł przyjaźni z rówieśnicą swą niemal, tą Waleryą Biłgorajską, która miała potem zostać żoną jej stryjecznego brata, Celsa Lewickiego, gdy znowu spotyka ją cios, strata i rozdział: ojciec jej, Piotr Lewicki, w 1831 r. wyjeżdża z domu i osiedla się w Szwajcaryi.

Przy ówczesnych stosunkach utrudnionych komunikacji było to prawie to samo, co sieroctwo, ale ojciec przyzywa ją wkrótce do siebie, pobyt przy nim w Szwajcaryi, w kantonie Glarus, liczyła sobie zawsze, już potem, już kobietą, do najszcześliwszych, najspokojniej pięknych lat życia swego; ale ręka losu wytrąca ją znów z tego nowo-uwitego gniazda szczęścia; w 1842 roku ojciec umiera i Anna wraca do kraju, pod opiekę stryja, mecenasa Lewickiego, zamieszkałego w Warszawie. I to był dom zacny, staropolski, ze staropolską zadaną matroną na czele, a przez młodego syna łączący się z kołem najszlachetniejszej młodzieży, która tak powinna była nosić miano entuzyastów, jak owo młodzieńcze grono kobiet, do którego weszła teraz Anna, dostało nazwę entuzyastek. Wiemy historycznie, jaka to smutna chwila zastoju

i wegetowania w nędznym ubóstwie myśli i uczuć, zaciężyła wtedy nad społeczeństwem naszym. Żmichowska pisze we wspomnionem już *Słowie przedwstępnem*, że jeżeli entuzjastki prześladowane były przez ogół przezwiskiem *emancypantek* dla pewnych cech oryginalności, często excentrycznej, dla niepolitycznej i zbyt szorstkiej otwartości słowa, czyniły to, z powodu, że „młode serca tak się oburzały martwością, bezmyślnością, ospałością, zepsuciem wreszcie, które do koła ich zalegało, nieczyjej już nie zwracając uwagi: tak się oburzały wszystkim, co, niestety, już zwyczajem się stało, że konieczne zapotrzebowano myśla, słowem i uczynkiem, od tej powszedności się odgraniczyć”. I między mężczyznami przyczyny te wydały skutki podobne, urodziła się cyganeria, która ogarnęła całe koło młodych literatów a między nimi kilka wysoko utalentowanych, których pożarła i zmarnowała. Dziekoński, Wolski, Fileborn, to tego kierunku przedstawiciele i ofiary, ale był to tylko odłam głównie literacki, poza którym stała inna z owego czasu młodzież, poważnie skupiona w sobie, protestująca przeciw społeczeństwu nieroztarganemu włosami i wałęsaniem się po szynkach i knajpach. Miała ona i literacką reprezentacją swoją w wydawnictwie *Przeglądu naukowego*, wychodzącego w Warszawie, a redagowanego przez Hipolita Skimborowicza (we wstępie do *Poganki* odmalowanego przez Żmichowską pod nazwą Teofila-dzieciaka) i Edwarda Dembowskiego. Wśród tego to szeregu młodzieży uczącej się, pracującej, skromnym życiem a wysoko podniesioną myślą i gorącym uczuciem podnoszącej się nad poziom ogólny, znalazła Anna serce, które zabiło dla niej miłością: Edward Domaszewski, piękna, czysta, łagodna natura poety, przyjaciół i kolega biurowy Majorkiewicza, poślubił ją w 1847 roku: ale delikatnego zdrowia, szczupłej, wątłej, wybudowanej, a już zmęczony próbami życia, nie przetrwał gorączki tyfoidalnej i odumareł młodą żonę w dziesięć miesięcy po ślubie.

Dziecinka, córeczka, która po nim została matką, wkrótce poszła za ojcem i Anna znalazła się samotna wśród życia, z nową tylko żałobą na sobie.

Ale była to zahartowana już, silna, na poważny spokój wyrobiona dusza kobiety mężnej. Boleści przechodziły po niej nie łamiąc, nie zginając: szła zawsze jedną i tą samą drogą, którą raz uznała za dobrą; szła za celem swoim i ideałem szlachetnym, niezmienną przez wypadki życia. Mogła być wydać się zimną, gdyby czyny nie dowodziły, że serce jej było gorącym, że umiało kochać i poświęcać się. W dwa lata po śmierci męża, w 1849 r., zaręczyła się z Henrykiem Krajewskim, dawno sobie znanym, cenionym przyjacielem, przemieniającym się teraz w narzeczonego. Odjeżdżał daleko, w podróż może niepowrotną, i ona zadziergnęła między nim a sobą ten węzeł, uświęcający uczucia serca, dający im charakter jawny. Dziewięć lat czekała na połączenie, na ślub; pojechała wreszcie do narzeczonego i przysięgła mu wierność aż do śmierci.

Wkrótce potem wróciła z mężem do Warszawy, gdzie osiedlili się stale. Bóg ubłogosławił Annę szczęściem macierzyństwa; była to także córeczka, trzymana do chrztu przez Żmichowską i ztąd nosząca symboliczne imię Adeodaty. Żmichowska napisała wtedy właśnie swój smutny, choć głęboki i bardzo piękny przez artystyczną formę utwór, pod tytułem: *Adeodat*. I ona sama była podówczas Adeodatem: mędrcom zbolalym, pełnym goryczy i żalości do świata, który jej się ukazywał w formie innej, niż ta, którą dla niego miała w myśli swojej. Znalazła między tem wczoraj, od którego odeszła młoda i zapału pełną, a dzisiaj, do którego przybywała, różnicę: ludzi nowych, a starzy, dawni, których spotykała na raz, nie wydali jej się takimi, jakimi chciała była ich ujrzeć.

Wypowiedziała im to bolesnymi, pełnymi gorzkiego żalu wyrazami w pierwszym ustępie *Kwestyi podrzędnej*, drukowanej w „Tygodniku Ilustrowanym”, wypowiedziała gorzyc swego serca w epilogu do *Poganki*, tak różniącym się od początku jak niebo i ziemia, jak wiara młoda i smutne pod jesień życia zwątpienie; napisała na koniec *Adeodatu*, poemat smutku najgłębszego, jaki może zmieścić serce ludzkie, nawet takie wielkie jak jej serce, i

dziecinka, której na chrzcie dała ona, czy dali inni to imię, miała dziwnym zbiegiem okoliczności oczy jakgdyby *Adeodatu*: wielkie, rozumne, smutne oczy, czarne patrzące poważnie na świat ze ślicznej, białej, bez żadnego rumieńca twarzyczki. Dziecko było takie piękne a szczególne z temi oczyma, że przyciągało nieznajomych, nawet mężczyzn, którzy się przywiązywali do niego prawie miłością, jak wiem sama. Na trawniku Saskiego Ogrodu, pod pawilonem pałacu Zamojskich bawiące się wśród zieleni i blasków słońca wydawało się prawie dzieckiem czarodziejskim. Zaczarowało też anioła śmierci; wziął je sobie mało co starsze nad dwa lata i co musiałoby czuć serce matczyne? A tu jeszcze prawie że zaraz katastrofizm znowu: rozdział, samotność, straty różnorodne a zarazem zawsze tasama siła, nieugięte się pod ciosem, nazewnętrz spokój niewzruszony, a przy nim działalność niezatamowana.

Mocniejszej kobiety, hartowniejszego ducha niewieściego nie widziałam; bliżej przyznawali jej jeszcze niezmaconą słodycz i łagodność charakteru, takt i wielką umiejętność w pożyciu codziennym, w kierowaniu domem, jednostajność humoru, czyli razem sumę przymiotów potrzebnych kobiecie rodzinnej, choć drugostronnie mogła przedstawiać to, co Dumas syn w swoim paradoxalnym podziale kobiecości na gatunki, nazywa: „Femme du Temple”. Umiała niemniej być: „Femme du foyer...”

Bóg pozwolił, aby kilkanaście osatnich lat jej życia, było słonecznie pogodnych. Przeżyła je w pełni szczęścia obok męża, tu w Warszawie. Przed czterema laty uległa sparaliżowaniu, ale było to stosunkowo dotknięcie choroby łagodne. Pomoc lekarska umiejętnie prowadzona, kąpiele w Cieplicach, uczyniły je takim, a i śmierć przyszła podobnie. Była to śmierć dobra, bo lekka i bez cierpienia, uderzenie jej, proces zabijający życie odbył się w przeciągu trzech godzin, można też powiedzieć, że zesłała ze świata naszego bez choroby. Przeżyła 66 lat szlachetnego i użytecznego istnienia; odprowadził ją do grobu orszak liczny i wiele ludzi, niezwiązanych z nią węzłami rodzinnymi, zapłakało u mogiły.

Marya Ilnicka.

Pozytywizm w praktyce

POWIEŚĆ

przez

Sewera.

PANNIE KATARZYNIE LEBOWSKIEJ

PRACĘ TĘ POŚWIECĄ

Autoz.

I.

Lato miało się kn schyłkowi, zmieniając się w pełną czarów jesień, cichą, tajemniczą, rozmazaną, rzucającą na świat dziwne jakieś, uroczne blaski pożegnania, strojące ziemię w purpurę i złoto.

Kraków był ożywiony; zdarza mu się to w zwyczajnych stosunkach dwa razy na rok: w czasie przyjazdu gości zza Wisły i ich powrotu za Wisłę. Na ulicach ruch, twarze obce, głośnie rozmowy; w hotelach gwaro i wesoło.

Stare mury Krakowa słuchają w milczeniu tej wrzawy, patrzą w milczeniu na obce twarze i nie dziwią się. Tyle już rzeczy widziały i nie dziwiły się... Za to powagi krakowskie stają, oglądają się, kiwając znacząco głowami, na śmiałków,

którzy przyspieszonym życiem i głośną wesołością zakłócają grecki spokój nowożytnych Aten.

Goście Krakowa nie sobie nie robią z greckiej powagi młodych Aten a starego miasta, posądzając je raczej o sennosć. Nic sobie również nie robią z patrzącej groźnie w górę wieży ratuszowej, a nawet z surowości architektonicznej komina, przyczepionego do jej murów.

Właśnie przypatrywał się tej zagadkowej strukturze, nie z powagą Greka, lecz z ciekawością szlachcica polskiego, okazałej budowy mężczyzna, z przewieszoną na jednym ramieniu torebką, a na drugim w futerałach lornetę.

— Wuj, wuj dobrodziej, rozległ się młody, świeży głos, od strony Baranów.

Wuj dobrodziej obejrzał się, rozkrzyżował ręce, postąpił krok naprzód i przycisnął do piersi siostrzeńca.

— Jakże Karlsbad? — pytał, wydobywając się z uścisków, młody człowiek.

— Miałem podobno schudnąć — odparł wuj, podniósł ręce i obrócił się z gracyą, tak, że siostrzeniec mógł jednym rzutem oka objąć wspaniałą postać wuja dobrodziej.

— I cóż? — pytał — jakże znajdujesz?

— Niema nic zastraszającego.

— Chciałeś powiedzieć, pocieszającego. Zemną, proszę cię, nie żenuj się. Prawda przedewszystkiem. A cóżes ty robił w Zakopanem?

— Zaprzyjaźniłem się z Sieczką, drapałem się po górach, unikałem ludzi: słowem żyłem na łonie natury. — Mówiąc to, wsunął rękę pod ramię wuja, prowadząc go dalej.

— A Władek?

— Zrobił kapitalne głupstwo.

— Głupstwo! — co ty mówisz? — I korzystając ze sposobności zdziwienia, przystanął, ciężko oddychając.

— Małe głupstwo — szaleństwo.

— Bój się Boga! a mówże prędzej.

— Był w Krynicy.

— To jeszcze daleko do szaleństwa.

— Oświadczył się.

— I to się zdarza, bez straty rozumu.

— Ale się oświadczył o pannę bez grosza posagu.

— Niepodobna!

— Przysięgam wujowi. Zakochał się jak student — i mimo, że mu matka panny, a potem sama panna, dały do zrozumienia, że nic nie dostanie — oświadczył się!

— Nie do uwierzenia!

— Mówił mi to sam.

— Trzeba przecie radzić. Od czegoż ty jesteś — starszy brat.

— Właśnie dlatego to zapraszam wuja na herbatę do nas dzisiaj.

— Gdzież stoicie?

— W Drezdeńskim. Musimy złożyć walną radę familijną.

— Szkoda byłoby chłopaka. Dobrze ci tak, bo nie należało, znając jego skłonność do miłości, puszczać go samego.

— Ależ Władek jest pełnoletni. Precz z opieką: to moja zasada.

— Jest to zasada pozytywistów. Oj ty, ty, egoisto! Stawiam się o ósmej.

— Czekamy.

Pozytywista skreślił do Sukiennic, idealny wuj pomknął ku Grodzkiej, dźwigając swą tuszę. Nagle stanął, odwrócił się.

— Kaziu — zawołał tubalnym głosem, że aż przechodzący obok chudy professor krakowski, wzdygnął się cały. — Kaziu!

Pozytywista nadbiegł.

— Po naradzie wartoby zrobić partyę, nie zapomnij — że o kartach.

— Niech wuj będzie spokojny.

Istotnie wuj był spokojny — nie zadając sobie pytania: kto były matka i jej córka, o którą się oświadczył syn jego nieboszczki siostry? Nie miała posagu: to mu wystarczało. A że był zapobiegliwy, wstąpił do Armatysa uprowadzić się w futuro. — Strzeżonego Pan Bóg strzeże — powtarzał z takim namaszczeniem i dumą, jakby on sam ułożył to przysłowie.

II.

W obszernym pokoju Hotelu Drezdeńskiego, na kanapie, siedział młodzieniec pogrążony w zadumie. Głowę spał na piersi, szerokie czoło lekko zmarszczył, niebieskie duże oczy utkwili w jeden punkt i od czasu do czasu zagłębiał długie palce ręki w bujną grzywę blond włosów, targał je i milczał. Tuż obok niego, ułożony wygodnie w fotelu spał wujcio, starając się rysom twarzy nadać wyraz surowy a nawet tragiczny. Kazimierz chodził po pokoju szerokimi krokami, oczy jego świeciły ogniem gorączki, wywołanej dyskusją, zaciśnięte usta mówiły o sile woli, a żywe ruchy zdradzały dużo energii. Stał przed bratem, przemawiając na pół rozkazującym tonem:

— No, kochany Władku, musisz się zdecydować stanowczo.

— Decyduję się — poświadczył wuj. Najlepiej zdecydować się od razu.

— Kocham — zawołał z namaszczeniem Władysław.

— No — ba — tak — szlachetne to uczucie miłość. I ja kochałem...

Kazimierz się uśmiechnął.

— Ty, cyniku, umiesz się tylko ze wszystkiego śmiać, pochwylił wujcio.

— Ależ, bo nie mogę sobie wuja wyobrazić zakochanego — odpowiedział Kazimierz, całując olbrzymie, okrągłe ramie.

— Teraz ciebie nikt nie jest w możności uprzytomnić sobie w tym szlachetnym, idealnym stanie. Pozytywiści i materyjaliści tacy jak ty, świat wysną z uczucia, że nie zostanie go na lekarstwo.

— I pozytywiści kochają mój wuju, lecz wtedy, gdy im na to pozwala rozsądek, a raczej rozum.

— Wy, tym swoim głupim rozumem zabijacie uczucie: ot co ci powiem.

— Dlaczegoż wuju walczysz z Władkiem?

— Walczę ale miłością, bo powinien przede wszystkim kochać, ale tradycją, mieć przywiązanie do rodzinnego kawałka ziemi, nareszcie do kraju. Tak, do kraju — powtórzył z mocą. I jeżeli odzywam się do niego, to w imię tego samego uczucia; a ty w imię rozumu albo egoizmu, co na jedno wychodzi.

Wujcio powstał rozentuzjuszowany wymową; czuć było, że był dumny z siebie. Chodząc, chłodził się chustką; Kazimierz dobitnie się uśmiechał.

— I czegoż wy chcecie? — zawołał Władysław — bankrutem nie jestem, posiadam majątek wartości blisko sto tysięcy rubli. I pod grozą zdrady kraju nie wolno mi mieć praw pierwszego lepszego robotnika, który wybiera sobie za żonę tę, którą kocha!

— Bo masz obowiązki — zawołał wuj — obowiązki, których nie ma robotnik, które miłość twą powinna w inną skierować stronę. Ot co ci powiem.

Wujcio podniósł olbrzymią rękę, wskazując tragicznie na Władysława.

Kazimierz zbliżył się do brata, oparł rękę na jego ramieniu i zaczął mówić, jak tylko umiał i mógł najserdeczniej.

— Władku, traktujmy sprawę poważnie. Oprócz czystego rozumu, którego krytyce musisz się poddać, nikt inny nie śmie być twym katem. Zgadzasz się: jesteś zamożnym, obywatелеm, posiadającym przeszło pięćdziesiąt włók dobrej ziemi. Niema mowy o obowiązkach, bo te można włożyć na barki, lub je zdjąć, stosownie do swych pojęć lub zamierzonego celu.

— Protestuję — przerwał z zapalem wujaszek.

— Lecz, widzisz, w naturze ludzkiej — mówił dalej Kazimierz — jest nienasycone pragnienie posiadania. Im więcej mamy, tem łatwiej przyzwyczajamy się do własności, majątku, zbytków; gdy przeciwnie, strata wprawia nas w rozpacz. Do braku nie jesteśmy zdolni przywyknąć. I to są, mój drogi, prawa postępu — cywilizacji.

— To są prawa egoizmu, dzikiego egoizmu i nie więcej! — zawołał wujaszek. Nie wolno ci uронić, z tego coś odziedziczył, bo zabierze nam zprzed nosa kawał ziemi Niemiec. Miłość jest podstawą stosunków. To powiedziałwszy, stanął w herkulesowej postawie.

— Na Byszowie masz spłaty — ciągnął spokoj-

nie Kazimierz. — Maryni, nie licząc towarzystwa, trzydzieści tysięcy rubli.

— Marynia nie woła — odparł Władysław.

— Ale zawoła, gdy jej córka dorosnie.

— Dziewczyna ma już trzynaście lat — dodał wuj.

— A teraz ja wam powiem — rzekł z mocą młody człowiek, zrywając się z kanapy. Oświadczyłem się o pannę, przedewszystkiem szlachetną, roztumną, skromną, oile słyshałem, pracowitą, a że nie ma posagu, przypuszczać należy, niewymagającą. Przy pracy i oszczędności mam nadzieję uskładać trzydzieści tysięcy w pięciu latach.

— Albo, pomimo pracy i oszczędności, przy nieszczęściu, stracić trzydzieści tysięcy.

— I wylecieć z Byszowa — dodał wujaszek. Gospodarstwo to loterya — i dlatego trzeba mieć na podtrzymywanie stawek gotówkę. Tyś nie urzędnik, któremu płacą pensją, czy na dworze deszcze leją lub grady biją. Ty zależysz od kaprysu nieba, a na te kaprysy trzeba mieć gotówkę. Niechaj urzędnicy żenią się ubogo, lub fabrykanci. Im wolno.

Nareszcie, sprzedam Jachimówkę — rzekł z rezygnacją młodzieniec.

— Mam cię! — zawołał wujaszek. — Sprzedając kawałek ziemi rodzinnej, to tak, jakbyś sprzedał kawałek kraju. Jachimówka jest spichlerzem Byszowa; za Jachimówką pójdzie Byszów. I z piękną swoją Dulczyneą a trojgiem dzieci, przyjeżdżesz do Warszawy szukać miejsca kasyera albo rachmistrza. — Wujciowi krople potu wystąpiły na czoło i łysinę. Obcierał je chustką z namaszczeniem i dumą.

— Więc czegoż chcecie? — spytał na pół zrozpaczony młodzieniec, opierając się tragicznie o framugę okna.

— Przypuszczam, że tak źle nie będzie — rzekł Kazimierz, — lecz ponieważ zakładając rodzinę, dajesz kapitału sto tysięcy rubli, masz prawo i powinność wymagać, aby i druga strona dała choćby połowę. Tym sposobem ułoży się równowaga i dzieci nie będą miały żalu do was.

— Nie wolno dla fantazyi wydzielaczać własnych dzieci — przemówił surowo, jak Kato, wujaszek.

— Mogę nie mieć dzieci — szepnął Władysław.

— Bądź spokojny, gdzie jest młodość i miłość, tam i drobiazgu na tuziny.

Wujcio się rozśmiał ze swego konceptu.

— Nie wiem za co pastwicie się nademną, starając się wydrzeć mi z serca najlepszą moją częśćkę.

Dla twego szczęścia, dla twego dobra, dla twej przyszłości — rzekł słodko wujaszek.

Nastała cisza, przerywana miarowym oddechem zmęczonego dykcyą wujcia.

Rozstąpiły się chmury, księżyc wypłynął na błękitne szlaki, rzucając snopy tajemniczego światła na rynek krakowski. Kościół Panny Maryi, Sukiennice i wieża Ratusza kąpały się w lazurze i srebrze. Mysł mimowoli cofała się w głęboką przeszłość i, bratając się z wyobraźnią, czekała, rychło-li od Bramy Floryańskiej zadudnią po bruku podkowy koni, zachrzeszczą zbroje, skrzydła hussarzy i świetny orszak, okryty sławą i kurzem bitwy, wkroczy na rynek stolicy. Rycerze owi nie znali pozytywizmu, ani nie rozprawiali o poświęceniu; przelewali krew z obowiązku i kochali, gdy dziś ich wnukowie stawiają sobie bezpieczne wały sofizmatów, aby się kryć za nie, przy łada silniejszym biciu serca lub szlachetniejszym popędzie.

Władysław, patrząc na wielki rynek i jego zadumane wieżycy, nie wiem, czy wywoływał duchy ojców, lecz zamyślił się głęboko i widać było po zmarszczonym czole i oczach, które patrzyły bez drgnienia daleko — że cierpi i walczy. Pierwszy raz świat stanął w opozycji przeciw jego woli. Marzenia młodzieńca, złote sny, nadzieje szczęścia, które go tak rozkosznie kołysały, zdruzgotano w jego oczach, zmieniając na potwory zawodów i nieszczęść.

On miałby być wypędzony z Byszowa? — Wzdrygnął się cały.

— Zimno ci? — zapytał go troskliwie Kazimierz.

— Ja kocham ją — szepnął, ukrywając twarz w dłonie.

— Tego rodzaju fantastyczne uczucia, pod promieniami czystego rozumu, jak mgła od promieni słońca rozwieją się — wygłosił poważnie starszy brat.

— Rozwieją się — powtórzył wujaszek — zaręczam ci, że się rozwieją. Kazio, choć pozytywista do ostatniej kropli krwi, poetycznie się wyraził. Wiesz Władek co, jedźmy do Warszawy na dwa tygodnie.... Jedyne to miasteczko i jedyne lekarstwo na nieproszonego gościa, który jak robak wgrzył się w twe serce. Trzeba go zdusić w zarodku, bo inaczej może być źle. Znam ja to! Zadzwoń! służba wniosła światło — i wujcio nieznacznie rozłożył zielony stolik, przesuwając po nim karty.

Władysław siedział nieruchomie, nie odejmując dłoni od twarzy.

— Mój Władziu, tylko nie rozpaczaj! Jesteś pełnoletni i jeżeli gwałtem chcesz lecieć w przepaść, my cię nie możemy kępować powrozami przymusu.

— Możemy i będziemy, ale moralnemi — odezwał się od zielonego stolika wujcio, na co znów Kazio się uśmiechnął.

— Wujaszek nie ustępuje ani kroku.

— Bo u mnie: paść, albo zwyciężyć.

Władysław podniósł się z wolna, wyprostował, spojrzawszy melancholijnie na brata, z uśmiechem rozpacz na wujcia — wziął kapelusza....

— A to gdzie? — spytał przeleknięty wujaszek.

— Poszarpałicie wszystkie moje nadzieje, ośmieszycie je, a mnie nazwalicie zdrajcą kraju i tradycyi. Pozwólcież mi wejść w siebie, być sam — sam choć parę chwil — walczyć.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WSPOMNIENIE POETY.

(Dalszy ciąg)

Gdy Petöfi był już sławnym poetą i wielkim człowiekiem, wszedł raz do niego huzar i zapytał: czy go poznaje? Był to dawny jego kapral, przybywający: „aby go przeprosić za wszystko, w czym mógł mu kiedy przykrość zrobić“ i daremnie Petöfi chciał go zmusić, aby z nim na pogawędkę przy stole zasiadł. Nie chciał: wiedział on dobrze, że „choć Petöfi officerem nie był, znaczył więcej niż nawet generał“ i ten akt czci naiwny głęboko wzruszył poetę, który często potem powtarzał, że mu był miłszym, niż najszumniejsze mowy i pochwały pisane, z jakimi teraz co krok się spotykał. „Lud głęboko czuje poezją — pisał potem do Jokaja — tylko potrzeba na to, aby to była poezja prawdziwa: gorąca i prosta, wyrazem razem wzruszonego uczucia i zachwyczonej wyobraźni, a nie zimno wygadana, pozująca muza“. Jakkolwiek Petöfi regularnych studyów nie przebył, choć sam nazywał się „kolczastą dziką różą wśród natury“. — Jokaj upomina się o to, aby go nie uważać za samorodny, niewykształcony geniusz. Uczył się sam dużo i dużo umiał, posiadał gruntowną znajomość historii i literatury powszechnej, a że czytał i mówił dobrze po niemiecku, po francuzku i angielsku, a na kilka lat przed śmiercią zaczął się uczyć pohiszpańsku, wszystkie wielkie arcydzieła literackie i pisma znakomitszych myślicieli krytyków znał w oryginale. Nawet przy największej biedzie, kosztem ofiar największych biblioteczki sobie zbierał, i dzieła wszystkich poetów świata posiadał, prócz Goethego, którego nie lubił, nawet nie znosił, a było to rysem w jego charakterze, że książki, niebędące dla niego biesiadą ducha, nie cierpiał i kiedy razem z Jokaj'em mieszkał — zdaje się, że już później poza czasem szkolnym, jak domyslać się można z niedość jasnej wzmianki w *Pamiętniku*, podrzucił mu często książki, nudzące go. Jokaj naśladował go i ztąd wynikały zabawne sceny, gdy się żaden z nich do własności nudnego szpargału przyznać nie chciał. Romanse Idy Hahn-Hahn, spacerując dwukrotnie od jednego do drugiego, za

trzecim razem dostały się gwałtem Jokay'owi, choć prawnym posiadaczem ich był Petöfi.

W wojsku służył tylko lat dwa. „Duchy dobre pomagają sobie wzajem“ — pisał Jokay — Petöfiemu przecież pomogły głównie słabe siły i bardzo delikatny organizm. Zapadał często i uwolniono go ze służby. Miał wtedy rok siedemnasty i przed sobą szeroki, szeroki świat, w którym jednak nie miał żadnego oparcia, bo rodzice, których mimo wszystko, co zaszło, gorącą miłością jedynego dziecka kochał, znaleźli się nagle w biedzie. Ojciec jego był zamożnym rzeźnikiem, a głównie kupcem wołów; bankructwo i ucieczka człowieka, który miał w ręku jego kapitały, uczyniły go odrazu ubogim, a wylew Dunaju dokończył reszty: zabrał dom i resztki zamożnego mienia tak, że musiał biedak nowego sposobu utrzymania życia sobie szukać i w małym miasteczku jakimś gospodę trzymał. Petöfi, który wszystkie rzeczywistych uczuć swych obrazy w słodkich, prostych śpiewkach oddawał, opisał z miłością los zawsze i gorąco ukochanego, choć niegdyś tak surowego dlań ojca w piosence: „Dobry, stary karczmarz“, w której każdy ostatni wiersz oktawy powtarza: „Oby go Bóg błogosławił obiema rękami swemi!“

Niezmiernie wzruszającą jest ostatnia strofa tej piosenki smętnie tkliwej, w której poeta, opisując jak starego biedaka nadzieją lepszej doli pocieszał, na szyję mu się rzucił i łzami się zalał na słowa, że starzec jedną nogą już nad grobem stoi, woła w końcu: „Ten dobry, stary karczmarz — to był mój ojciec!“

„Oby go Bóg błogosławił obiema rękami swemi!“... zakończył i Bóg wysłuchał modlitwy, ubłogosławił ojca przez dobrego, szlachetnego syna, który się nie tylko ojcowiskiej nędzy nie wstydził, ale wśród ciężkich prób własnego losu żył nierozłącznie z myślą, aby kiedyś starych rodziców do serca swego przytulić, ciepłem miłości swojej ogrzać zimę ich życia. Mimo to, że naród jego genialnym go nazwał, on nie o piastowaniu geniuszu swego szczególnie myślał i gdy tylko zarobiony grosz na to mu pozwolił, rodziców do Pesztu do siebie sprowadził, aby otoczyć ich wszystkim, co najtkliwsza miłość dziecinna dać może. Dość tego jednego rysu z życia poety, aby uwierzyć, że poezja jego była źródłem z najczystszej gruntu szlachetnych i gorących uczuć wynikającym. Rodzice tak też kochali tego dobrego syna, że gdy zginął, gdy za krwawych dla Węgier czasów przepadł bez wieści i oczy ludzkie widziały go raz ostatni na strasznym polu przegranej pod Segeswarem, żadne z nich przeżyć go nie zdołało. Nim rok upłynął, matka i ojciec Petöfiego spoczywali w grobie.

Przecież gdy niespełna siedemnastoletni, wpół młodzieniec, wpół chłopiec jeszcze, znalazł się na rozstajnych drogach życia, miłość sztuki: poezji, ideału, tak w nim nad wszystko silną i niezem, żadnym wspomnieniem nędz przebytych niewzruszoną była, że nad wyborem stanu nie zastanawiał się długo, ani nie szukał: gdzie dola lepszą być może? Dla niego jedną i jedyną najpewniejszą była ta kochanka pierwszych lat dzieciństwa, której niezachwianie wiernym pozostał, a co Jokay określa wesoło przysłowiem francuskim: „On revient toujours à ses premières amours“. Petöfi wrócił do teatru, który przecież nie mógł być dla niego nigdy polem działalności odpowiedzialnej. Za drobny był, za szczupły, nie miał rysów dość dla sceny wyrazistych, nie miał dość silnego, metalicznie brzmiącego głosu, i całej tej piękności plastycznej, bez której aktor obejść się nie może. Jokay przeklina zato mużę teatralną, nazywa ją bezlitosną zalotnicą, która tylko kochanków nazewnatrz pięknych łaskami darzy, i gdy niejeden drab lichy, niejeden głupiec z jaką taką maską w królestwie jej pod górę drapać się może, Petöfi, poeta i myśliciel zapoznanym od wszystkich, przez tłum niespostrzeżonym, niewyróżnionym pozostał. Jokay przecież nie ma w tej chwili słuszności za sobą. Piękno jest i musi być nazawsze kardynalnym warunkiem sztuki, która w tym tu przejawie swoim prócz tej piękności, z głębin duchowych idącej, która się talentem nazywa, wymaga jeszcze formy: linii kształtów szlachetnej, co choć ze zmysłowością graniczyć się zdaje, jest jednak wy-

nikiem wrodzonej idealności człowieka. Tłum ludzki potrzebuje w wybranych chwilach życia oderwać się od tej rzeczywistości, w której musi przystać na wszystko, co konieczność mu daje i chce mieć takie wspaniałe istnienia momenta, aby w nich wszystko, na czem wzrok jego spocznie, wyszlachetnionem i dla oczu, harmonijnie wdzięcznem było. Sztuka w ogóle istnieje dla tych wymagań poetyczności naszej, i trzeba też w szczególe przystać już na to, że scena teatralna musi się posilkować w efektach swoich pięknoscią pięknego ciała, które ma też prawa swoje niezaprzeczane, jak to nasz poeta nie zmiając się z prawdą życia pisze:

Jest koło czarodziejskie, co piękność otacza
Światłem z nieba odbitem. Tam się przeistacza
Każda myśl, każde czucie. Bolesć gorycz traci,
Szczęśliwość w czarowniejszej zstępuje postaci.

(Korzeniowski — Fragment).

Petöfi nie przynosił ze sobą na scenę tego „czarodziejskiego koła“: powabu wdzięcznej powiechowości i nie wiodło mu się w teatrze. Między czterema ścianami zwykle ubożego mieszkanka swego odgrywał Hamleta, Koryolana, Brutusa; przed publicznością stawał w rolach bardzo podrzędnych, bo w dodatku nie był ani intrygantem, ani zreszcie praktycznym człowiekiem, któryby umiał dbać o siebie i fortuny swojej koło naprzód toczyć. To też role, których już nikt wziąć nie chciał, jemu narzucano i towarzysze tak mało go cenili, że nie chcieli wierzyć, aby to on pisał te piękne wiersze, które się pokazywały od czasu do czasu po pismach, teraz już w liczbę rosnących. — Jestto zapewne inny jakiś Petöfi... mówiono mu w oczy, wprowadzając go tym sposobem w gniew namiętny i napelniając mu serce niemal że nienawiścią do ludzi tak niezdolnych odczuć go i zrozumieć. Czasem też przychodziły na niego złe pragnienia zemsty. Raz, grając w bardzo poważnej sztuce rolę osoby niemej, tak się z umysłu ucharakteryzował, takie pozy i ruchy przybierał, że publiczność, ujrawszy go, wybuchnęła szalonym śmiechem i cały nastrój patetyczny przepadł. Innym razem mając przedstawiać w bohaterskim melodramacie podlego i na chwilę tylko ukazującego się zdracę, zamiast miecza, który przy boku miał się zwieszać, wsadził w pochwę ogromny rożen, i w chwili, gdy jego przeciwnik, dzielny i wspinały rycerz wypadał na niego z okrzykiem: — Wydostaj miecz twój nędzniku! on rożen wyciągnął i znowu położenie stało się tak komicznem, że nawet sufler śmiał się z innemi, za co przecież Petöfi, o mało miejsca nie stracił i na karę pięciu guldenów skazanym został.

Nie zapłacił jednak, bo nie miał czem. Pensyi pobierał miesięcznie 25 guldenów papierowych i to „w proporcji“ co znaczyło, że przyznawaniem mu będzie tyle w stosunku pewnym do dochodu. Jeżeli przecież pokazał się w kasie niedobór, należało mu jeszcze dopłacić, to jest z pensyi następnego miesiąca wytrącano mu brak z poprzedniego obliczenia wynikły.

I przy takiej nędzy trwać w zawodzie, nieprzynoszącym nawet pociech tego dymku, który słodko upaja: sławy jakiej takiej!

On trwał jednak, bo zamilowanie było wielkie, ogromne; ale rozsadek kazał mu jednak poprawienia losu szukać i opuszczając trupe, grającą w Keczkemet, udał się do Pesztu. Pusił się więc w drogę, ale jak? Nie mówiąc już o dyliżansie pocztowym, mnóstwo wozów i wózkówjechało wciąż gościńcem, szczególnie w dniu targowe, biedak na chudopacholka wyglądający mógł się na którym z nich przysiąść, lecz byłby to zbytek, na który pozwolić sobie nie mógł i *pierwszy poeta Węgier* (Jokay tak to z naciskiem oznacza) szedł za gwiazdą swoją pieszo, aż go jakiś ucziwy wieśniak wziął darmo na swój wasąg i w dodatku uraczył dużą kromką chleba i kawałem wędzonej głowizny, a był on właśnie wtedy bardzo głodny.

Było to w chwili, gdy ze znużenia, z wyczerpania sił zachorował i wśród nagich rozłogów puszczy, to jest płaskiego, bezleśnego stepu południowo wschodnich Węgier, w jednej z napotyka-

nych tam czard, czyli samotnie stojących karczemek, położyć się musiał i leżał bez żadnego poratunku, bez żadnego pokrzepienia dzień cały. Wieczorem naszło się do czardy czykósów i juhasów, to jest pastuchów stadnin wóldzkich koni i owczarzy, którzy zasiadłszy wzdłuż długich stołów śpiewali wesołe, junackie piosenki swoje. On trawiony pragnieniem gorączki, słuchał tych śpiewów i niedługo potem ukazała się w *Ateneum* pełna niesłychanej werwy piosenka:

Karczmareczko, gołabczko, daj mi flaszę wina!
Zdała idę, a na biedę, chce się pić od Debreczyna...

I to wtedy, gdy te wesołe lekkie rymy składał, był blizkim śmierci głodowej, od której go wybaWił dobroczynny dar miłosiernego wieśniaka, na którego wózku dojechał do Pesztu, gdzie jednak nie danem mu było pozostać stale, bo i tu spotkał się z zawodem. Zatem z trupą wędrowną pusił się znów w drogę, i jak Odyseusz opowiada słowami Schillera: — „Wszystkiem morza przepłynął, przedeptał wszystkie lądy...“ tak on biedak, pędzony tęsknotą innej wprawdzie jak tamta ziem-ska Greka ojczyzna — przecież krainy bardzo też drogiej dla dusz niektórych, przewędrował całe Węgry wzdłuż i wszerz, zbierając jednak za całe niezmordowane wysiłki swoje tylko nędze i troski najrozmaitsze. Więc nie mógł pozostać zawsze przy maluczkiej pociesze ośmieszenia nierozumiejących go ludzi, przy maluczkiej zemście, która nic mu nie przynosiła, i musiał przyjąć koniec zawodowi, który nie chciał go wpuszczać dalej, niż do przedsionka sztuki. Wrócił do Pesztu, aby próbować jeszcze raz losu; uzyskał w tamtejszym teatrze debiut, wystąpił jako notaryusz w *Deserterze*, sztuce najpłodniejszego i bardzo lubionego dramaturga węgierskiego Szigligeti, a rola ta, choć nie najpierwsza, miała jednak ustępy, w których talent aktora mógł zabłysnąć przed publicznością. Gdy jednak nie zdołał jej wzruszyć, nie zdołał po-ciągnąć do siebie, gdy głos mimo całych w tym kierunku wysiłkach nie mógł rozbrzmieć wśród sali pełnym, czystym tonem, ogarnęło go w końcu tak bolesne uczucie zwątpienia, że odbiegła go wszelka siła umysłu i gdy myśląc się nieszczęśliwy, wyrzekł: — Pan Jerzy jest narzeczony! — chcąc się poprawić dodał: — Panna Julia jest narzeczonym...

Schodząc tego wieczora ze sceny, zrobił też silne postanowienie, że już nie wstąpi na nią więcej.

Przytuliła go teraz całkowicie poezja, do której Jokay głos podnosi i w gniewie za przyjaciela na taką drugą „zdradliwą, płochą, wyróżzoną sztukę“ woła: „O poezjo! ty słodka, łagodna bogini, ty nie pytasz jakim jest postać wybranych twoich! Obecujesz tylko z duchem i potrzeba ci tylko pięknego ducha, a nie mięśni i brzmiejącego dźwięku!“...

Biedny Petöfi aż do śmierci został najwyższym wielbicielem sztuki dramatycznej i nie tak jak przyjaciel jego zawzięty przeciw niej zato, że go napała gorzkim trunkiem niepowodzenia, napisał jej pożegnanie pełne miłosnego żalu, a które umieścił potem w czasopiśmie peszteńskim *Divallap* (Dziennik mój). Najwyższa rola, jaką kiedy Petöfiemu w czasie aktorskiej jego karyery powierzono, była rola błazna w „Królu Learze“.

Jeszcze za owych czasów, gdy ją grywał, wszedł poeta w stosunek, z mało co starszym od siebie, a już w literackim świecie znaczenie swe mającym, Wojciechem Pakh, redaktorem *Gazety niedzielnej* w Debreczynie i zarazem uczonym pedagogiem, który wtedy był zarazem nauczycielem prywatnym młodego jakiegoś magnata. Pewnego dnia zapukał do drzwi jego mieszkania, niewiele co więcej niż dwadzieścia lat mający młodzieniec, ubrany bardzo zrzęcznie w narodowy strój węgierski i przedstawiając mu się jako Szandor Petöfi, znany już wtedy do pewnego stopnia poeta, oświadczył, że radby poezje swoje w jego dzienniku umieszczać, a zarazem i więcej jeszcze, osobistą znajomość z nim zawrzeć. Jedna i druga propozycja została mile przyjęta, młodzieńcy podobali się sobie wzajem i poprzyjaźnili nawet, bo ukochania ich i nadzieje — ideały przyszłości, były obydwoim wspólne. Petöfi przybył do Debreczyna z trupą swoją, lecz tak jak gdzieindziej, tak

jak i tu już poprzednio, nie doznał dobrego przyjęcia; że przecież było to już w chwili blizkiej znanego nam przełomu: porzucenia przez Petöfi'ego sceny, że już pewna smutna niecierpliwość poczęła ogarniać biednego młodzieńca—rzucił się na awanturnicze przedsięwzięcie: utworzenia własnej, a raczej do wspólki zebranej trupy i po pewnym czasie życzliwej zażyłości z Pakh'em, puścił się w świat, jakgdyby stawiając życie na los szczęścia ostatni, który jednak, jak wiemy, nie dał wygranej. Po złamaniu wreszcie upartego, a bezowocnego zamilowania, Jokay ukazuje nam Petöfi'ego znowu w Debreczynie.

Czy Peszt okazał się zbyt niegościnnym dla biednego rozbitka, czy może Petöfi, nie mógł w pierwszej chwili wytrzymać w tem mieście i pośpieszył w swoje strony, do rodziców, aby potem dopiero, w powrocie, znaleźć się w Debreczynie? pamiętnik jasno nie wykazuje, a tylko przypuszczać to można z piosenki, którą poeta pod tą datą napisał:

Jakieś pociechy chciałem wziąć nektary,
Pragnąłem dostać choć kropelkę miodu.
By stłumić gorycz dopitej już czary,
Ku której przecież wzdychałem od młodu.
W tył się rzuciłem, jak te biedne mary,
Co po piekielnym ogniu pragną chłodu;
Lecz strawionego już przez takie żary,
Woń rodzinnego nie leczy ogrodu:
Padłem na drodze jak zbity i stary
Nie wiem, z pragnienia, rozpacz—czy głodu!

Pakh, wracając jednego wieczora do domu, spostrzegł nagle pode drzwiami swemi jakąś postać znędniałą, na ziemi siedzącą, z nogami zabłocanymi, w kapeluszu przemokłym. Odziana potarganą gubą czyli burką—odpowiadającą noszej góralskiej guni, miała przysobie tylko sekaty kij podróżny i gdy ujrzała nadchodzącego, podniosła się, na kiju owym wspierając, lecz Pakh poznać jej nie mógł. Był to jednak Petöfi, tylko straszliwie zmieniony, nie tylko przez odzież ubogą, ale i rysy, wyraz twarzy, który choroba przetworzyła jakgdyby na jakieś nowe, nieznane mu dotąd oblicze. Nieszczęśliwy czekał pod zamkniętymi drzwiami, tak dlatego, że dalej iść sił mu już nie starczyło, jak z tej przyczyny, że nie miał nikogo innego, aby doń pójść....

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Październiku 1882 r.

Matejko we Lwowie.—P. Merwart.—Kupno obrazu.—Stypendyum krajowe imienia Matejki.—*Wzory przemysłu domowego*, zeszyt V i VI.—*Pogadanki o ludzie wiejskim i miejskim* przez ks. Jana Siemiefiskiego.—*Kalendarze*.—Wydawnictwa księgarni Łukaszczyka.—*Belletrystyka*.—*Pieśni z lat młodych i pieśni starca*, Januarego Poźniaka.—Wydawnictwo dzieł ludowych.—*Ziarno*.—Teatr.

Matejko przybył osobiście do Lwowa, aby zafiarować sejmowi swój *Hold pruski* na przyozdobienie jednej z sal, mającego się restaurować zamku na Wawelu. Gdy o tym darze marszałek krajowy zawiadomił na pełnym posiedzeniu Izbę Sejmową, ozwały się zewsząd jaknajwyższe oznaki wdzięczności za dar wspaniały, a w hucznych oklaskach objawiła się cześć reprezentantów całego kraju, oddana mistrzowi, co przeszłość historyczną w najwydatniejszych jej chwilach przekazuje potomności. Dni pobytu Matejki we Lwowie były ciągłym objawem niesionego mu ze wszech stron hołdu. Posłowie urządzili dlań ucztę składkową w dawnej sali sejmowej. Tegoż dnia wieczorem zgromadziło się na przyjęciu u marszałka liczne towarzystwo, z pań i mężczyzn złożone, dla uczczenia artysty. Miasto wyprawiało równocześnie świetny korowód z pochodniami, z muzyką Harmo-

nii na czele, liczący przeszło tysiąc pochodni; wyszedł korowód ten z ratusza, dążąc głównymi ulicami przed gmach sejmowy, oświetlony przez tego światłem elektrycznym, rozciągającym blask dzienny prawie na cały ogród miejski, czarownie pięknie rysujący się swemi klombami i grupkami drzew starych, na rozległej przed gmachem sejmowym przestrzeni. Tłumy zgromadzonej wokół gmachu i w całym ogrodzie publiczności ożywiały do późnej nocy ten widok wspaniały, który jako objaw czci serdecznej zapisał się zapewne głębokiem wrazeniem w sercu i pamięci wielkiego naszego artysty.

Na parę tygodni przedtem, podczas wystawy obrazów, był tu także p. Merwart z Paryża, którego duży obraz *Potop*, przedstawiający ilustracją jednej sceny z poematu Alfreda de Vigny, najwięcej zwracał uwagi i najwięcej zyskiwał pochwały znawców, na tegorocznej wystawie lwowskiej Sztuk Pięknych. P. Merwart, artysta młody, niegdyś uczeń Pawłowicza, obecnie dyrektora tutejszego muzeum Zakładu imienia Ossolińskich, wyjechał następnie dla kształcenia się w malarstwie do Paryża, po szesnastoletniej niebytności w kraju przybył celem zebrania typów tutejszych miejscowych do ilustrowanych pism francuzkich, których jest współpracownikiem. Było to podczas tegorocznej emigracji żydowskiej do Brodów, dokąd udał się też p. Merwart, gdzie obfity dla ołówka swego znalazł materiał. Oprócz tego zwiedził w ciągu lata różne okolice Galicji, od Tatrów aż po Kołomyję, zbierając wszędzie po drodze widoki, typy i teeny miejscowe, gromadząc w swej tece bogaty do przyszłych kompozycji materiał. Dotychczas żyjąc wśród obcych, w obcej atmosferze i obce jedynie społeczeństwo mając przed oczyma, z niego też dobierał treści do obrazów, niemających nic swojskiego. Obecnie ojczystem odczynał powietrzem, zaczerpnął świeżych do kompozycji motywów, fantazyi jego nowe otworzyły się źródła, poznał bliżej społeczeństwo, którego rysy zatarły się były w pamięci, podczas długiego za granicą pobytu, skutkiem czego odtąd nie będzie już zniewolony ograniczać się w wyborze przedmiotów do swych obrazów treścią kosmopolityczną, czerpaną bądź z krain wyobraźni, bądź z życia cudzoziemskiego, lecz mu jej dostarczą wrażenia z rodzinnego zaczerpnięte kraju. Kilkomiesięczny pobyt w Galicji, będzie, jak sam powiada, stanowił nowy zupełnie zwrot, nową epokę w jego karierze artystycznej.

Potop p. Merwarta pomimo ceny, jak na nasze galicyjskie amatorstwo i kieszenie, stosunkowo dość znacznej, został przecież zakupiony na tegorocznej wystawie lwowskiej, a co przytem na szczególniejszą zasługuje uwagę, to ta okoliczność, że go kupiła hrabina M., która nigdy przedtem nie zajmowała się popieraniem sztuk pięknych i nigdy tego rodzaju artystycznych nie czyniła sprawunków. Z zakupem tego obrazu wiąże się cała historia, objaśniająca, jakimi drogami zwolna sztuka toruje sobie drogę wstępu na salony pewnej części naszej arystokracji. Hrabina M. nie zajmowała się nigdy, jak powiedziałem, sztuką i nigdy przez myśl jej nie przeszło, aby piękny obraz mógł się na co przydać w salonie. Istotnie salony lwowskiej arystokracji świecą szczególniejszym pod tym względem ubóstwem, a oprócz u ks. Sapiehów i hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, a niegdyś u s. p. Ludwika Skrzyńskiego, z małym może wyjątkiem nie obaczyć nigdzie we Lwowie, w żadnym salonie cenniejszego obrazu. Nie było go też, rzecz łatwa do wytłómaczenia, i u hrabstwa M. Zwrócił na to pewnego razu uwagę hrabiny przyjaciel domu, wielki miłośnik i znawca sztuki, poseł H.

— Pani hrabina przepysznie masz urządzonego salon. Najpierwsze paryzkie w niczem go nie przewyższają. Jednej mu tylko jeszcze rzeczy braknie:

— Czego?—zapytała ciekawie podrażniona nieco w swej próżności hrabina.

— Obrazu—wspaniałego dzieła sztuki, któreby ornamentyce salonu dodało jeszcze artystycznego blasku. Jakże przepysznie wydałby się naprzkład w tem miejscu *Potop* Merwarta, znajdujący się na obecnej wystawie tutejszej Sztuk Pięknych!

— A cóż kosztuje ten obraz?—zapytała hrabina.

— Cenią go na 7,000 guldenów.

— Cztery tysiące dałabym — odrzekła bez wahania się, krakowskim targiem, hrabina.

— Dobrze, pomówię z artystą—odrzekł pan H. i w samej rzeczy doniósł Merwartowi o życzeniu hr. M. Artysta zgodził się na cenę, bo chociaż za granicą mógłby być więcej za dzieło swe otrzymać, chodziło mu o to, aby obraz jego w kraju pozostał. Dzienniki doniosły o sprzedaży obrazu. Tymczasem mąż hrabiny, nieobecny podczas tego zakupna we Lwowie, jeździł bowiem podobno do dóbr swoich, oglądać, sprowadzone świeżo oryginalne bydło szwajcarskie; wróciwszy, sprzeciwił się stanowczo wydawaniu pieniędzy, na rzeczy tak mało praktycznego przynoszące pożytku, jak obraz, choćby najpiękniejszy. Skutkiem czego cały układ się zachwiał. Narobiło to wiele hałasu w całym Lwowie; parę dni o tem powszechnie mówiono, a skończyło się na tem, że hrabina M. uwzględniła się ostatecznie, aby postawić na swoim, chociażby, jak się wyraziła, sprzedać miała swe klejnoty; grzecznym bilecikiem przeprosiła artystę, i oto pyszny *Potop* Merwarta pozostał tym sposobem we Lwowie.

Wracając jeszcze do *Holdu pruskiego* Matejki, zapisać wypada, że oprócz tych oznak wdzięczności, jakich mistrz nasz za dar swój wspaniały doznał od publiczności lwowskiej, podczas swego tutaj pobytu, sejm w zawdzięczeniu daru uczynionego krajowi, uchwalił stypendium z funduszu krajowych imienia Matejki, w wysokości 1.000 złr. rocznie, dla uczniów krakowskiej szkoły Sztuk Pięknych, udających się po ukończeniu tejże, dla dalszego kształcenia się w malarstwie za granicą. Stypendium to uchwalone jest na tak długo, dopóki Matejko będzie piastował posadę dyrektora pomienionej szkoły, przez który-to przeciąg czasu co rok 1.000 złr. ma być wstawionych w budżet krajowy na cel powyższy. Dar Matejki znalazł, jak widzimy, wdzięczne uznanie u wszystkich.

Wyszedł V i VI zeszyt *Wzorów przemysłu domowego*, wydanych przez p. Ludwika Wierzbickiego, członka zarządu tutejszego Muzeum Przemysłowego Miejskiego, nakładem tegoż muzeum. Przypyszne to wydawnictwo, którego zadaniem jest uwiecznić rodzime cechy artystycznej fantazyi ludu naszego i zachować je od skażenia naleciałościami obcego smaku i obcych motywów, któremi z biegiem czasu zamącić-by się mogły przepyszne to wydawnictwo pozostanie pomnikiem przemysłu domowego włóścian naszych, we wszystkich jego kierunkach. Poprzednie zeszyty obejmowały wzory haftów, obecnie wydany zeszyt czyli serya piąta, poświęcona jest garncarstwu. Poprzedza ją treściwie napisany przez wydawcę rzut oka na ceramikę naszą, która na końcu mianowicie XVIII wieku miała świetne chwile, gdy książę Józef Czartoryski założył fabrykę porcelany w Korcu, dając chwalebny przykład do naśladowania a bracia Mezerowie sławę fabryki koreckiej wysoko podnieśli. Galicja posiadała ostatnimi czasy dwóch znakomitych garncarzy samouków, którzy kunszt wypalania i przyozdabiania garnków przejęli tradycyjnie od swych ojców, pochodząc z rodzin zdawniadawna trudniących się garncarstwem, ale szczególniejszym obdarzeni talentem, kunszt ten, mianowicie rysunek i koloryt zewnętrznego przyozdobienia, posunęli tak dalece, iż wyroby ich nacechowane rzutkością samorodnej fantazyi i dobrym smakiem, przybrały już cechę artystzmu, jakim nie odznaczały się wyroby garncarskie ich poprzedników. Obadwa już nie żyją. Szóstopalski zmarł przed dwoma laty w Sokalu, Bachmiński przed rokiem w Kosowie. P. Wierzbicki przedsięwziął zebrać i wydać w wiernie naśladowanych chromolitografiach przedniejsze wyroby obudwu, te mianowicie, w których uwydatnia się głównie ich charakterystyka i oryginalność. Obecna serya, poświęcona wyłącznie wyrobom Bachmińskiego, z wizerunkiem jego na czele; późniejsza ma zawierać podobnie dobrane wyroby Szóstopalskiego. Z nadzwyczajną przyjemnością ogląda się te, na dziesięciu tablicach zestawione tutaj, misy, dzbanki i inne naczynia, w których nie wiedzieć co bardziej pociąga oko i podziwiać się każe: czy zgrabność kształtów każdego naczynia, czy bogactwo fantazyi w rysunku najrozmaitszego rodzaju ornamentów lub harmo-

nia kolorów, piękność rysunku podnoszących? „Posiadając niepospolity zmysł artystyczny, powiada o Bachmińskim wydawca, w przedmowie do niniejszego zeszytu, rozwinął on sztukę dekorowania naczyń w sposób sobie właściwy. Każde naczynie gliniane, wyszłe spod rąk Bachmińskiego, przedstawia pod względem dekoracyjnym całość skończoną, a płodna fantazyja jego pozwalała mu nabyte motywy zużytkować w sposób tak różnorodny, iż zdawać się może, że twórczy umysł tego człowieka był prawdziwie niewyczerpanym; niepodobna bowiem zpomiędzy wielkiej ilości naczyń, które ostatnimi laty wykonał, znaleźć „dwóch zupełnie jednakowo dekorowanych“. Śmiało twierdzić można, że Alexander Bachmiński, nie tylko że „zachował od skażenia tradycyjnie przechowane motywy ornamentów“, używanych dawniej w tej okolicy do dekoracji naczyń glinianych, ale że „na podstawie tych motywów“, rozwinął całe bogactwo ornamentów, że z prawdziwym artyzmem umiał je „zastosować do materiału i przeznaczenia naczyń“, i że wzbogacił je znacznie pod względem estetycznym.

Oile wszakże uderzają powabem swej harmonii i oryginalności pomysły Bachmińskiego, wszędzie tam, gdzie do dekoracji swych naczyń używał kwiatów lub arabesków, o tyle z powodu nieznamośności rysunku, nieudolnie wyglądają w naiwnej prostocie wykonane postaci ludzi, zwierząt, ptaków, lub też rysunki architektoniczne, jak domy, cerkwie i t. p. — albowiem śmiała fantazyja Bachmińskiego nie cofała się przed żadnym pomysłem, każdy pragnąc samorodnym instynktem w obrazowe przyoblec kształty. Wszelako rzecz sama z siebie wymagała tu już owiele dalej posuniętej biegłości technicznej, wspartej nauką — jakoż pominięte one są w niniejszym wydawnictwie, zawierającym tylko najcenniejsze i jak powiedziałem, najbardziej pod względem ornamentyki charakterystyczne wyroby Bachmińskiego.

Równocześnie wyszła *serya szósta*, zawierająca wyroby metalowe Huculów, przeznaczone do ozdoby stroju. Mosiężnictwo stało dawniej u Huculów na bardzo wysokim stopniu udoskonalenia. Mieli oni swe własne oryginalne sposoby odlewania i przyozdabiania mosiądzu, które do dzisiejszego dnia jeszcze pozostały, ale ztracają się z wolna. Kwitnęło ono w czasach opryszków, bo każdy z opryszków rad był mieć broń i wszelkie do niej przybory, jaknajodrobniejsze i chlubił się z tego. Mosiądzem objano toporki, pistolety, strzelby; z mosiądzu wyrabiano prochownice, pasy, podobnie jak i rozmaite ozdoby stroju kobiecego; w których i dzisiaj, zarówno jak dawniej, lubują się Huculki. Wyroby dawniejsze, z epoki opryszków, przewyższają wyrób dzisiejszy i są cenniejsze i poszukiwanymi. W wydawnictwie p. Wierzbickiego znajdujemy zgromadzone wszelkiego rodzaju najpiękniejsze wyroby mosiężnicze huculskie, w których przechowały się cechy oryginalnego stylu, odznaczającego się trafem zastosowaniem do kształtu i przeznaczenia przedmiotów, do których przyozdobienia służą. Są to po większej części kombinacje geometryczne linii, wybijane lub żłobione na łufach strzelb lub toporkach, fajkach. Ciekawy jest zbiór fajek, zestawiony na osobnej tablicy. Wiele tych przedmiotów wykonanych jest z drutu mosiężnego „filigranową“ robotą. Mosiężnictwo jednak upada, jak powiedziałem, u Huculów i słusznie zapytuje w proroczym przywidzeniu wydawca: kto wie, czy za kilkadziesiąt lat, to nasze wydawnictwo nie będzie jedynym już pomnikiem ornamentyki huculskiej, w całej pełni jej oryginalności? Kosmopolityzm przesiąka dzisiaj we wszystkie stosunki życia społecznego, nawet w najdalszym gór zakątku, i w tutejsze wciska się też ustronie. Postęp zaciera samorodną oryginalność, a wyrób fabryczny zastępuje ręczną robotę. Tem więcej też ceny i znaczenia ma z tego powodu wydawnictwo niniejsze pana Wierzbickiego, przedstawiające cały niejako świat domowy ludu naszego, przechowujący się dotąd po części przynajmniej w jego przemyśle ręcznym w tradycyjnej swej czystości. A również pod względem artystycznego wykonania, pod względem wierności i piękności rysunku i dokładności odbicia, dzięki staraniom wydawcy, przewyższa

ono wszelkie oczekiwania. Rysunki wykonał pan Czyrśnic, dyrektor Szkoły rysunków i modelowania tutejszego Muzeum; co dostateczną dawało rękojmię ich artystycznej wartości, ale zdumieliśmy się na widok tak dokładnie odbitych chromolitografij, pomimo wielkiej rozmaitości i obfitości kolorów, co jak wiadomo, jest zadaniem niemałej wprawy i staranności wymagającym. Gdyby nawet nie pomnikowa wartość rzeczy, to sama już artystyczna piękność wydania, zaleca je dostatecznie w oczach każdego, chociażby nawet nie był znawcą i nie umiał ocenić trudności wykonania.

Ks. Jan Siemieński wydał dalszy ciąg swych *Pogadek o ludzie miejskim i wiejskim*. Pierwsza, wydana dawniej, książeczka mówiła o usposobieniu moralnym, o położeniu, stosunkach i potrzebach ludności wiejskiej, podając wiele cennych wskazówek, moralnego wykształcenia ludu dotyczących, wyliczając najważniejsze ku temu środki. Książeczka obecna zajmuje się w podobny sposób ludnością małych naszych miasteczek; zastanawia się nad jej przyzwyczajeniami i przyczynami tychże, i podobnie jak tam obmyśla środki poprawy, wskazuje drogi podźwignienia z materialnego i moralnego upadku i zabezpieczenia dobrobytu społecznego. Wiele pożytecznej nauki, zdrowych poglądów i rad znajduje się w *Pogadankach* księdza Siemieńskiego, a obrona forma, nie wymagająca metodycznej ścisłości, dozwala mu swobodnie, przechodząc z przedmiotu na przedmiot, przeglądać z kolei wszystkie stosunki miasteczkowej ludności i rzucić pożądaną reformę ziarno. Objawiając całość, znajdujemy w tych *Pogadankach* żywy obraz pewnej części społeczeństwa naszego i dobrze uchwyconą dyagnozę nurtujących w niem chorób, które dobry lekarz wprawną ręką usunąć się stara.

Jesteśmy w porze pojawiania się kalendarzów, zapowiadających, jak wiosnę jaskółki, zbliżanie się Nowego Roku. Każda prawie z tutejszych drukarni wydaje co rok swój kalendarz, posiadający tę lub ową cechę tradycyjnie charakterystyczną, odróżniającą go od innych. Najbardziej poszukiwany był ostatnimi laty humorystyczny Kalendarz „Szczotka“, który obecnie znalazł spółzawodnika w wydanym temi dniami Kalendarz „Różowego domina“, rywalizującego ze „Szczotkiem“ na polu humorystyki lwowskiej. Od zwykłych kalendarzy odznaczają się wydane przez księgarnię Gubrynowicza i Schmidta dwa kalendarze kieszonkowe, podręczne, mianowicie: *Kalendarz lekarski*, ułożony przez Dra Stellę Sawickiego i *Kalendarz rolniczo-gospodarski*, zredagowany przez Juliusza Au. Szczególniej pierwszy zaleca się dokładnem zestawianiem wszystkich tych szczegółowych wiadomości i wskazówek, które każdemu lekarzowi, każdej chwili w jego praktyce, mogą być potrzebne. Znajdujemy tam treściwie podaną dyagnozę ważniejszych i rzadszych chorób, prawidłą higieniczną, wiadomości głównejsze z terapii i farmakopei i wyczerpującą statystykę lekarską: słowem, wszystko to co do działu informacyjnego na polu praktyki lekarskiej należeć może. Jest to pierwszy rocznik tego rodzaju kalendarza, który u nas we Lwowie się pojawia, a bardzo był pożądanym i zapewne też utrwali się na przyszłość, zwłaszcza, że pierwszy ten rocznik wybornie odpowiada zadaniu.

Niemniej pożądanym był Kalendarz Rolniczy, którego także dawniej nie mieliśmy. Dopiero zeszłego roku Towarzystwo gospodarskie nakłoniło pp. Gubrynowicza i Schmidta, że się postarali o ułożenie takiego kalendarza i wydali go swoim nakładem. Wezwany przez nich w tym celu p. Au profesor Szkoły Dublańskiej, trzymał się wzorów niemieckich, zastosowawszy je do potrzeb i warunków gospodarstwa naszego. Obecnie wyszedł więc drugi już rocznik rzeczzonego kalendarza, uzupełniony i zmieniony tam, gdzie się tego okazała potrzeba. P. Au sprawdził i uzupełnił liczne tablice, z obliczeniami odnoszącymi się do karmu bydła, składników gleby, nawozów i t. p., a niektóre mniej obchodzące rolników krajowych szczegóły i tablice usunął, według krytycznych wskazanych wskazówek mu udzielonych. Kalendarz tegoroczny stał się przez to treściwszym i pożyteczniejszym, i zapewne także utrwali się

i nadal, jako *vade mecum* każdego postępowego gospodarza.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Wybory do Sejmu Pruskiego. — Ich wypadek. — Stronnictwa i obrazy. — Kulturkampf. — Nowy sekretarz stanu w Rzymie. — Znaczenie tej nominacji w Niemczech. — Postępowcy w Berlinie. — Młody Bismarck. — Posłowie polscy. — Socjaliści. — „Nibelungi“ i Meininger artyści w Berlinie. — Nowości teatralne. — Zeszytowe wydania. — „Rossja malownicza“ Dra Roskosznego. — „Goethe ilustrowany“ — Paweł Heyse, dzieła. — „Deutsche Bucherei“. — Carriere o niemieckiej sztuce. — Niemiecki poeta w Szwajcaryi. — Conrad Ferdin. Meyer, jego pisma. — Powieść francuzka i wchodząca do niej ingrediencye. — Alf. Daudet „Robert Helmont“.

(Dokończenie).

Mało komu znana jest niezmierna obfitość poetycznych utworów, corocznie się w Niemczech ukazujących. Znaczniejsza ich część, prawie niepostrzeżona, nieczytana, niekrytykowana, przepada głuchą ciszą przysypana, jeżeli Paweł Lindau najniedorzeczniejszych z tych expektoracyj nie zmiele w proch nielitościwym swym sarkazmem. Epopei, dramatów, zbiorów lirycznych, poematów wszelkiej barwy, nowelli rymowanych — tysiącami zalega półki księgarskie. Wśród tego potopu szczęśliwy kto się potrafi wyróżnić, zwrócić na siebie uwagę i zyskać sobie choć skromne prawo obywatelstwa na Parnassie.

Z goryczą uzała się taki naprzykład hr. Schack, od lat dwudziestu strojący lutnię na wszystkie tony, iż słuchać go nie chcą i poznać się nie kwapią. Tymczasem co piękne prawdziwie, co oryginalne naturą swą, a niewyszukaną oryginalnością, co natchnione, to w końcu, choćby jak cyklam alpejski kwitło we mchu ukryte, ściąganie do siebie, i w końcu ocenionem być musi. Nikt pewnie nad tego poetę, o którym mówić mamy, mniej się nie starał o rozgłos i mniej się go nie spodziewał...

Przeszło rok temu, jednego jesiennego wieczora zastukano do drzwi naszych. Skromnie bardzo ubrany, średnich lat mężczyzna, dziwnie łagodnego i spokojnego oblicza, z niemłodą panią, równie prosto i nieokaznie ubraną, oddał nam kartkę polecającą od jednego z przyjaciół. Imię przybywającego było nam całkiem nieznane, ale poleconym był jako towarzysz po piórze, jako powieściopisarz i poeta.

Nazwisko brzmiało poniemiecku; przybyły, sądząc, że rozmowa łatwiejszą się przez to stanie (uprzedzono go o tem zapewne), rozpoczął ją bardzo dobrą francuzczyzną. Gdyby nie oznajmił mi, że przybywał ze Szwajcaryi, powierchowność, typ ten, przypominałby mi coś Lavaterowskiego, Gessnerowskiego, coś czysto staro-szwajcarskiego, patryarchalnego, szlachetnego, noszącego skromnie wielkiej godności ludzkiej poczucie.

W rozmowie z D. Konradem Ferdinandem Meyerem poznałem w nim dziwnie oryginalnego poetę-artystę, niedzisiejszych czasów. Poezya była jego życia miłością i celem, sztuka jego jedynym zajęciem, ale zarazem był to sobie prosty posiadacz kawałka gruntu i winnicy w Szwajcaryi.

— Dokończyłem wczesnie winobrania, — mówił z uśmiechem, — ja i żona mieliśmy prawo spocząć trochę i rozerwać się, i przybyliśmy do Drezna... Ale, niestety, do gospodarstwa i do domu rychło powracać potrzeba.

Pierwsze prace tego poetę, poemat „Engelberg“, ballady, romanse, ukazały się już przed kilkunastu laty, podobno w Szwajcaryi. W Niemczech nikt ich nie forytował, nikt im nie torował drogi; tymczasem co poszło z serca odbiło się w mnogich sercach i dziś p. K. F. Meyer, i jako poeta liryczny, i jako powieściopisarz, zajmuje jedno z najzaszczytniejszych miejsc między współczesnymi.

Wszystkie powieści, nowelle, poezye, dożyły po kilka wydań w krótkim czasie. „Król i Święty“ którego czytaliśmy zaraz po ukazaniu się, już drukuje się raz trzeci. Pomiedzy małemi nowellami, które w swoim rodzaju obok Heysego stać mogą, są prawdziwe perełki i arcydzieła. W opowiadaniach historycznych Meyer jest malarzem aż do zbytku wiernym przeszłości, lecz nigdy nie zapomina, że jest artystą. Być bardzo może, iż z pewnych względów nie wszystko to, co Meyer pisze, u nas-by do smaku przypaść mogło; lecz ileż to się rzeczy tłómaczy, których porównać nawet z jego utworami nie można!

Mielibyśmy wielką ochotę dla urozmaicenia treści tego listu, dać w nim jakieś sprawozdanie z nowości francuskiej. Ale jakże wybór trudny!

Wszystko to tak do siebie teraz podobne, tak w jednej niejako formie odlane, że po przeczytaniu kilku tych płodów Muzy znad Sekwany, wrażenie pojedynczych utworów zacierza się i zlewa w nieokreślonego coś jednolitego a przerażająco monotonego.

Można zaręczyć zato, że żaden romans francuski dzisiejszy nie obejdzie się naprzód, jako bez osi obrotowej, bez milionowej fortuny, albo tworzącej się cudownie, albo utworzonej i zagrożonej. Deus ex machina dzisiejszy to nie kobieta już, nie miłość, ale pieniąż i miliony. Daudet, Clarétie, Malot, Glouvet, Ohnet, — wszyscy ci panowie nie umieją zbudować już nic bez tej podstawy.

Sergiusz Panin, równie jak inni bohaterowie, z pomocą milionów tylko na scenie się utrzymać może. Obok milionów staje kilka typów bankierów i spekulantów, powtarzających się z małemi odmianami. Wszędzie przez gałęzie krajobrazu, na tle niebios przegląda giełda. Pieniądze robią się i tracą z niesłychaną łatwością, i zadziwiająca rzecz: najrozumniejsi, najprzebieglejsi tak głupio je marnują jak nieprawdopodobnie w mgnieniu oka zarobili.

Obok milionerów, którzy wszyscy niemal wstępują na tle archeologicznego, con amore opisanego bric-a-brac'u, ucziwy inżynier lub kassyer jest typem nieuniknionym, płocha żona albo córka, a naostatek pół-światek i ulicznica paryzka, w nich nieustępująca Nanie, należą do inwentarza nowej powieści.

Wspomnieliśmy archeologiczne tło. Niema romansu prawie, w którymby sobie autor odmówił przyjemności odmalowania wnętrza antykwarskiego i niepopisał ze znajomością tych cacek, które dziś należą do dobrego tonu.

Scena zazwyczaj w Paryżu, i przynajmniej parę razy u Brébant'a, Chevet'a, lub w jednej z modnych restauracyj na bulwarach. Dla urozmaicenia jakiś najmniej znajomy kątek wielkiej stolicy, opisany z natury, ze wszystkimi wyziewami swemi, czasem w dodatku wycieczka na prowincję, a nieunikniona kąpiel też morska w Trouville lub tym podobnie.

Żywioły przeważnie demokratyczne panują w powieści, dorobkowiec z rękami olbrzymiemi, obrosłymi włosem, chłopci-milionowi, około których skarlała arystokracja kręci się, aby połączeniem z nimi do życia powrócić. Wśród typów arystokratycznych, między którymi w rzeczywistości nie zbywa na bardzo szlachetnych i pięknych, ledwie który w powieści umie godnie nosić ciężar pięknych wspomnień i wielkich zasług. Literatura dobija, czego rewolucya nie wypełniła.

Z takich żywiołów złożone powieści, którym na oryginalnem rozwinięciu zbywa, które wszystkie niemal w jeden sposób, mniej więcej szczęśliwy, opowiadają historję milionów i działania ich na ludzi, są dziwnie monotonne. Pytać się wreszcie potrzeba: są to-li obrazy z życia rzeczywistego? a jednostajność oznacza-li, że czerpią ze świata, jaki mają przed oczyma? Sąż oni zmuszeni tak pisać, bo się tak dzieje? Niestety! zdaje się, że tak właśnie nie jest. Życie i świat rzeczywisty są daleko więcej urozmaicone, ale w literaturze panuje moda, są prądy, którym nawet potęgi umysłowe oprzeć się nie umieją. Znakomity talentem Daudet ulega im, jak drudzy.

Pół-swiat ze wszystkimi odcieniami swemi Jeszcze pogrzebiony nie został; ale dziś obok nie-

go świat finansowy zajął miejsce i zapewne długo jeszcze będzie eksploatowanym.

Alfons Daudet, który po Rumestanie dotąd odpoczywa, zajmując się wydawaniem dawnych swoich, początkowych prac (Aventures de Tarascon i t. p.), przedrukował także (wydanie piąte) Roberta Helmont i drobniejsze studia, które przypominają podobne w listach z młyna i nowelle poniedziałkowe (Robert Helmont, Etudes et paysages. Cinquième Edition. Dentu. 8-o 304 pp). Nie bez przyczyny na czele tego zbioru stoi Robert Helmont, jest bowiem i rozmiarami największy, i rzeczywiście artystycznym wykończeniem najpiękniejszy. Na tle krajobrazu z okolic Paryża, w lesie Sénart, niedaleko Corbeil, w ruinie jakiegoś starego klasztoru Karmelitów, rozwija się ten monodram, czasu obłężenia Paryża. Jestto dziennik malarza, który dobrowolnie pozostaje w tej pustce, prowadzi życie Robinsonowskie, i zdala tylko podслуhuje i odczuwa wszystkie sceny wielkiego dramatu, odegrywanego się pod ukochaną stolicą.

Powiedzieliśmy, że to jest monodram, chociaż oprócz Helmont'a wchodzi do niego kilka figur epizodycznych. Kunszt, z jakim malują się tu krajobrazy, urozmaicają epizody, akcyja spotęgowała, całość składa w obraz jeden, mimo monotonii swej nierzadko jednostajnością, znakomity. Daudet jest największym może artystą w takich drobnych malowaniach à la Meissonnier.

Że we Francyi Helmont wszystkich za serca pochwylił, nie dziwnego: gorący patriotyzm z jakim te karty są nakreślone, usprawiedliwia to powołanie i że Niemcy i nie przekładali tego arcydzieła i milczą o niem — również się łatwo tłómaczy; lecz odrzucając na bok te dwa przeciwne czynniki, Helmont jako dzieło sztuki pozostanie jedną z najsliczniejszych kreacyj autora.

Jakkolwiek ładnie są obrazy dopełniające ten tom, niedorównują mu już. W niektórych Daudet powtarza się. Są to jakby notatki pierwotne, które służyły mu później do utworów znaczniejszych rozmiarów. Śmierć ks. Morny, Nabab, nie przynoszą nic nowego i — prawdę rzekłszy, niezmierzają się nie odznaczają, coby drukowanie podobnych notat czyniło usprawiedliwionem. Daudet nie powinien był ich wydawać, zostawując do „rzeczy pośmiertnych“. Samemu sobie tak bardzo szanować, żeby się najmniejsze okruciny pracy tak starannie i z takim poszanowaniem ścigało — jest trochę śmiesznem. Ale to — czysto pofrancuzku. Wolelibyśmy jednak dla sympatycznego autora nie znaleźć w nim tej dziecięcej zarozumiałości.

Inne szkice i notatki, niektóre z nich zaledwie po stronnic parę mające, są wdzięczne i pod względem krajobrazowym bardzo się odznaczają. Zabawne są korsykańskie wspomnienia Daudeta. Bandyta Quastana i Maria Anto. Obok nich są tu obrazeczki z Algeru, z południowej Francyi i t. p. Autor ma zwyczaj pod świeżem wrażeniem notować sobie koloryt, zapisywać postrzeżenia, rzucić myśli na papier — aby je potem w kompozycjach szerszych rozmiarów spożytkował. Metoda to bardzo dobra, gdy się ma ten zmysł Daudet'a; pochwycenia głównych i charakterystycznych rysów, dających się później wypełnić i ubarwić. Jedno nie służy tu często za studjum, naprzykład w Pomarańczach, z jednej bladej twarzy, n. p. w Strażniku granicznym, składa się cały dramat, pełen tragiczności i bólu.

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń, w Październiku 1882 r.

Wystawa w Tryeście. — Sezon. — Kwestye gości. — Meeting angielski. — Angielki. — Makart. — Matejko. — Teresina Tua. — Nowości sceniczne. — Dramat domowy Straussa. — Cywilne zakonnice. — Petöfi. — Jokay. — Wydawnictwa tania węgierskie. — Salony w Peszcie. — Ebert.

(Dokończenie)

Było ich trzech. Szandor Potoeffi zginął 1848 r.; ciała nie odszukano. Teraz postawiono mu w sto-

licy spizowy posąg. Drugi, Jokay, uroczystą przemową inaugurował odsłonięcie pomnika. Trzeci, Arany, przyglądał się razem z ludem a w kilka dni umarł. Pozostał osierocony Jokay — a Węgry wszystkimi trzema zarówno się szcżą. Warto zaprawdę posłuchać, co mówił Jokay — a całe Węgry słuchały i rozkoszują się czytając. Mowa to, prawie tom — podam główną ośnowę w wyjątkach.

„W szkole go rzadko spotykałem i zacząłem go lekceważyć. Pisał wiersze i deklamował w towarzystwie oświaty; zacząłem mu zazdrościć. Potem poznałem jego sposób życia. Utrzymywał się z przepisywania. Zacząłem go szanować. Gdyśmy się rozeszli — kochałem go. Ten niepozorny, pogardzany, biedny chłopiec wiedział już wtedy, że w jego piersiach mieszka gwiazda, która go wyniesie tam, gdzie jest zenit narodowego firmamentu....

„Stoimy przed jego posągiem przez naród wznieśnionym; jakaż to droga od domku w Oedenburgu, gdzie pierwsze wiersze na desce pisał, do tego piedestalu!

„Przez siedm tylko lat świecił on jak meteor — ale jest to epoka, jakiej drugiej nie mieliśmy. Narod węgierski był zaklęty, nieswiadomy, nieczuły, duch jego był w okowach, kark ujarzmiony. Powstał Petoefi zbudził go. Poezye Petoefiego to cała jego istota, posąg gotowy. Każdy tam rys jest prawdą, każdy odpowiada wielkiemu zdarzeniu. To czysta prawda, co opowiada o nędzy, z którą walczył aż do zenitu życia: „gdyby matka wiedziała jak ja cierpię — pękłoby biednej serce.“

„Nad grobem moim dopiero będziecie śpiewać, zamarłe pieśni, waszego towarzysza.“ Lecz nędza i cierpienie nie łamią jego ducha, przed mrozem otula się w swoją dumę — a sławi suchy chleb i kij żebraczy. A gdy mu raz miasto Peszt za wiersz zamówiony na jakąś uroczystość chciało dać stosunkowo znaczne wynagrodzenie — odpowiedział monumentalną niegrzecznością. I jego rodzice byli biedni; ojciec rzeźnik wyparł się go nawet, gdyż został aktorem; on przecież rodzicom zawsze czcią i czułością otaczał; małym dzieckiem się staje ilekroć może złożyć głowę na łonie matki, i pociesza rodziców, że na starość u niego będą mogli odpocząć.

„Jedna jest tylko zagadka w jego poezjach: pieśni o winie — gdy on sam prawie nie znał wina i radości: „uśmiech zamigocze czasem na moich wargach, ale śmiechu nie znam.“ Wola on: „zarabiam pieniądze, nie żeby je mieć, ale, żeby je przepić“ a zaraz pierwsze zarobione oddał wszystkie podupadłym rodzicom. Jak pieśni o winie nie z wina, tak pieśni ludowe nie z ludu brał, ale lud przyjął je dopiero od niego i śpiewa je od r. 1842. Zbierracze pieśni ludowych doznał zdziwienia, gdy perły przez nich ulowane u ludu — zobaczyli dawno już drukowanymi przez Petoefiego. Petoefi zaniósł pustą węgierską na Olimp, a chlostał dawną wynarodowioną szlachtę. Lud i kraj — to jego niebo i natchnienie. „Poeta jest swobody wieczną lampą.“ Wszystko, co czuł i śpiewał, to było własne, oryginalne. „Ten sławny, ten nędzny, ten biedny, ten potężny węgierski kraj“ — to pierwszy i ostatni ton jego pieśni.... „Węgrem jestem i oblicze moje pała od wstydu, że jestem Węgrem. U nas zmierzch dopiero, gdy wszędzie pełne słońce. Ale za skarby całego świata nie opuściłbym mojego kraju, gdyż ognisć kocham i częzę mój naród nawet w jego hańbie.“ Tesknota za wielkością narodu wznosi się do ekstazy wiecznej, on przepowiada, — co się spełniło. Zarówno grzmoty piorunowe, jak i piosenki słowicze brzmiały z jego liry. Przeklinał jak demon i błogosławił jak anioł. Niema tylu kwiatów na ziemi, ile uczuć miłości jego wywołuje; promień słońca, nie dzieli się na tyle barw, ile ich ma zar jego miłości.

„Doznał nareszcie szczęścia; najjaśniejsze są jego pieśni o szczęściu miłości. „Więcej niż cały las wawrzynu, wart jest jeden pączek róży“. Marzy nawet o długim życiu i starości. Ożenił się; po ślubie wyjechali do Włoch, potem do Siedmiogrodu. W Peszcie mieliśmy wspólne mieszkanie, trzy pokoje, jeden był mój, drugi wspólny, trzeci Petöfich. Ruchomości: biblioteka, Bórranger, Hugo, Heine, historia Żyrodystów, Shakespeare, Ossyan, Byron, Shelley... Na ścianie

między innemi pani Roland, Charlotte Corday — to jedyny zbytek. Żonę jego widziałem zawsze tylko w czarnej sukni, włosy krótko ostrzyżone. Obiad „zpod złotego orła“ jedliśmy razem — cały nasz wydatek miesięczny wynosił 30 złr.; wina nie znaliśmy; wieczorem herbata i czytanie wspólne, czasem teatr; gości żadnych, prócz *Aranych*. Petöfi panował nad przyjaciółmi miłością — przyjaciele ubóstwiali go.

„Stworzył on około siebie nową szkołę, jak sam mówił, węgierskich *romantyków*; było nas dziesięciu: Petöfi, Tompa, Kerenyi, Palfy, Degre, Lisznyay, Pakh, Obernyik, Verczy, Jokay, Arany. Dążnością ich było to, żeby uczynić język węgierski literackim, zachowując w stylu i rozwoju myśli narodowe właściwości. Potrzeba było do tego takiego geniuszu, jakim był Petöfi, z jego smakiem i z jego *erudycją* — gdyż studiował on łacińskie, niemieckie, francuskie, angielskie dzieła w oryginale. Petöfi zwyciężył pod hasłem, że idee i myśli to władcy, a słowa — tylko niewolnicy. Język ludu stał się językiem literatury, pieśń ludu, wyższą poezią, i tak zostało do dzisiaj — to jest powodzenie Petöfiego, to go czyni wielkim. Więc zaznał i szczęścia i sławy — a narazie i wielkości narodu. Nowa to epoka, pieśni czarno-czerwone. Trzeba je czytać tak, jak gdyby były na sarkofagu rytu; tylko wtedy się je rozumie; wojsku rozdawano jego pieśni — on sam zginął. Ale przedtem ileż przeżyć. Chciał posłować, pobił go nędzny kandydat — i wydawać zaczął z Jokajem pismo! upadło, zadłużyli się. Polityka, Astaroth, pożarła literaturę — nawet przyszło do zerwania z Jokajem — aż znowu stopięćdziesięciofuntowe argumenta sprowadziły ich do siebie. Ginąc, rzekł Petöfi, że pójdzie tam, dokąd należy: do nieba. Bem kochał go jak syna — pod jego rozkazami zginął... Odtąd z każdym rokiem postać jego rośnie. Wiatr rozniósł jego popioły, ażeby każdemu Węgrowi dostał się atom. Sprawiedliwa potomność stawia mu posąg — a posąg ten widzi prawie wszystko, czego Petöfi pragnął, spełnionem — i widzi, że skarby, które zostawił, dzieła jego w setkach tysięcy tomów wydane, są w chacie i w pałacu. Dostały one skrzydeł, obiegły nawet ziemię całą, Niemcy, Francuzi, Angliści, Włosi, Szwedzi, Hiszpanie, Polacy mają najcenniejsze utwory jego przełożone, a nawet w Japonii i w Chinach znają go. „Przyjdą jeszcze czasy, że serce tego posągu rozplomienie rozkoszą, i posąg w nocy świecić będzie“.

Oto mała mozaika brylancików tej mowy.

Gdzieindziej powiedziano: „Bez *Aranego*, byłby wczesny zgon Petöfiego klęską niepowetowaną — lecz duch i missya jego żyją i działają w *Aranym*“. Zaledwo kilka dni po uroczystości odsłonięcia posągu — umarł Arany. Powszechna w Węgrzech żałoba. Arany — u nas jest prawie nieznanym a przecież to znakomitość pierwsza — nędzna. Petöfi nazywał go Homerem, siebie karłem wobec niego.

Potöfi był poetą serca i przyszłości — Arany poetą przeszłości dla przyszłości i tem samem uzupełniają się. Arany zagłębił się w historię i ujął jej wielkość i sławę w potężne poemata homeryczne. Petöfi jako liryk należy już do literatury świata, Arany jako epik jest wyłącznie węgierskim.

Był on dzieckiem ludu, nauczycielem w małym miasteczku, potem notaryuszem gminy, jakiś czas, tak jak Petöfi aktorem, potem nauczycielem gimnazjalnym literatury łacińskiej i węgierskiej — wreszcie generalnym sekretarzem Akademii Umiejętności w Peszcie. Był to człowiek skromny a z jednego odlewu; życie całe zupełnie zgodne z ideałami. Od r. 1842 ogłaszał utwory swoje, mniejsze powieści, poemata heroikomiczne — aż dopiero w r. 1847 odrazu pierwszorzędną zdobył

stanowisko, wydając pierwszą część epopei *Toldy* — *Toldy'ego miłość*. Toldy jest legendowym, węgierskim bohaterem-ideałem, który żył na dworze króla Ludwika Wielkiego, a sływał także olbrzymią siłą. Postać jego otoczona jest cudownymi podaniami i przygodami. Petöfi pisał zaraz po zjawieniu się dzieła: „W Szalonta mieszka wielki człowiek, a ten wielki człowiek jest moim przyjacielem, a tym przyjacielem jest Jan Arany, autor *Toldy'ego*. Poemat ten napisał prosty notaryusz wiejski w małej izdebce, długiej 5 i szerokiej 2 kroki i co właściwie jest w porządku.

Trylogią *Toldy* ukończył Arany dopiero w r. 1879. O znaczeniu dzieła i wrażeniu opowiada Sturm w przedmowie do swojego niemieckiego tłumaczenia:

„D. 26 Listopada 1879 o godz. 5 pop. zebrała się w sali węgierskiej Akademii Umiejętności szczególnie liczna publiczność. Po mieście bowiem rozszła się wiadomość, że na posiedzeniu towarzystwa Kisfaludy zdarzył się wielka niespodzianka. Ciekawość podbudzona otrzymała sówite zaspokojenie. Po otwarciu posiedzenia oznajmił prezydent Paweł Gyulay, że Jan Arany, którego poemat *Toldy* otrzymał był przed 32 laty konkursową nagrodę, trylogią swoją szczęśliwie ukończył i tom ostatni właśnie z drukarni przyniesiono. Rozpoczęło się czytanie dwunastu rapsodów wspaniałego poematu. Wstrzymując oddech, słuchano wierszy, niemających sobie równych w węgierskiej literaturze, poczem deputacya dziękczynna udała się do sędziwego poety, a cała stolica radowała się, że *Toldy* nie jest już torsem, ale całością doskonałą“.

W latach około 1848 pisał Arany wiele, między innemi epopeję „Obleżenie Murany“, w której główną postacią jest amazonka Marya Szecechy. Wówczas jednak robiono historię, więc o poemacie niepojawiało się ani jedno sprawozdanie.

W r. 1858 wydał jedną część trylogii *Śmierć Budy* — brata Attyli; dwie drugie części: *Attyli sława* i *Attyli śmierć* mają być w rękopismie. Wydał także w węgierskiem wzorowem tłumaczeniu: komedye Arystotanesa, 3 dramata Shakespeare'a, *Eneidę* — nadto oddał się studyowaniu starowęgierskich pieśniarzy i chronistów i stworzył węgierską balladę, oryginalną, dramatycznie ożywioną.

Te dzieje i losy, życie i twórczości węgierskich poetów — ileż mają sympatycznych znamion! Nie zasypiają jednak Węgrzy sprawy. I tam — jak już i u nas, poczęły się u nich szerzyć tanie a liche przekłady rynsztokowej muzy naturalistycznej. Żeby tej reszcie drogę zatamować, złożono fundusze — ażeby wydawać groszowe tomy dzieł Jokaya i w ogóle najlepszych autorów, grubym drukiem, na grubym papierze dla ludu. Przykład godny naśladowania.

Zajmująca też sprawa jest przedmiotem żywych rozpraw w Peszcie: potrzeba salonu. Dzienniki, różne kluby bardzo pięknie o tem rozprawiają; cała intelligencya stolicy rozumie bardzo dobrze o co to idzie. Społeczeństwo wykształcone i w normalnym stanie żyjące, nie może się obejść bez salonu, to jest bez wykwińskiej wymiany myśli i uczuć, bez zwyczaju wspólnych towarzyskich rozrywek w ściślejszem kole ludzi sympatycznych. Salon polega na sztuce rozmowy, a ta obejmuje wszystkie ludzkie i boskie rzeczy. Więc każdy uczestnik towarzystwa salonowego musi posiadać piękne wykształcenie, zmysł dla wszystkiego, co jest żywotne i zajmujące, a ile możliwości i dar trafego wyrażania własnych myśli, a prędkiego pojmowania cudzych. Gdzież są te warunki? Były one w Atenach i w Paryżu. Ale co najważniejsza, osią, słońcem salonu jest kobieta, są kobiety.

Salon wymaga kobiet zdolnych zająć serce, umysł i zmysły, zdolne obok wesołości i swobody

utrzymać panowanie wytwornych obyczajów! Surrogaty klubów, kasyn, a tem mniej kawiarni i piwiarni wszechwładnych, salonu nie zastąpią. Im społeczeństwo wyżej stoi w cywilizacji, tem większą jest potrzeba towarzyskiego oburzenia, duchowej rozrywki, uwypatnienia osobistości w kołach odpowiednich, ciepła, wzajemnego oddziaływania. Na wsi są karczmy i wieczornice. Otoż Węgrzy, którzy pną się gorączkowo coraz wyżej po drabinie cywilizacji, pragną koniecznie posiadać salony. Niestety, trudności są ogromne. Mogłaby w tej mierze wiele zdziałać arystokracja — gdyby chciała. Poza nią brak odpowiednich żywiołów, brak ogólnego wykształcenia i *wychowania* brak swobodnej mądrości życia w kołach o większym promieniu. Salon we właściwym pojęciu ma nadto jeszcze większe znaczenie, — tam powstają nietylko kodexa obyczajów i honoru; ale także tam może być siedlisko opinii publicznej, którą teraz wyłącznie dzienniki uzurpowały i każdą ją ciągnie za poję, każdy prawie w inną stronę. Bez salonów braknie łącznika między społeczeństwem a prasą, łącznika dla obu tych sfer dobroczynnego.

Ostatecznie w Peszcie w sprawie tak ważnej postanowiono, że trzeba zacząć i działać nieustannie w małych kółkach, oddziaływać przeciw kawiarniom, zacząć od małych prób — powodzenie sprawa mieć będzie dopiero wtedy, kiedy znajdą się kobiety po temu, lub bodaj jedna genialna czy doskonała — a na takich kobietach Węgrom dotąd jeszcze bardzo zbywa.

Wypada nam przenieść się do Pragi, żeby jeszcze jeden grób, także poety odwiedzić. W chwili gdy w Pradze radość z dzwigniania się narodu, gdy rektor uniwersytetu *czeskiego* poraz pierwszy w sejmie zasiadł — a mieszkający w Czechach Niemcy burzą się i żyzmają na to odrodzenie czeskie — w chwili tej umarł w Pradze starzec, poeta niemiecki, którego muza karmiła się jednak głównie czeskiemi i w ogóle słowiańskimi podaniami i pieśniami. Ebert zajmuje poczesne miejsce na parnacie niemieckim. Należał on przed r. 1848 w Wiedniu do sfer pięknych lekkoduchów, poetów jak Grün, Lenau, Beck, Seidl — i Grillparzer — lecz porzucił ich. On niepoślubił ani bohemii, ani gwałtowności nietrwałej, ani heinizmu, ale prawdziwą poezią życia i pióra. Przeniósł się do Pragi, był bibliotekarzem, archiwistą, sekretarzem, rzadcą dóbr — ale nigdy nie przestał być poetą. Niemcy stawiają go w środku między Leitnerem i Bauernfeldem — ta trójca się uzupełnia.

Ebert zasłynął jako liryk reflexyjny, spokojny, mistrz pieśni leśnych i wiejskiej idylli jak: *Las i miłość*; *Klasztor*, *Węgierka*, ognistej miłości wieńiec uwił z sonetów p. t.: *Mila*; opisowe poemata i ballady osnuwał na kanwie czeskiej jak: *Własta*, *Dalibor*, *Miłosz i Milica*, *Szwerting*, saski herzog i. i.

Wielkie powodzenie miały jego dzieła sceniczne: *Brzetysława i Jutta*, *Miłość i nienawiść kobiet*, *Brunoy*, *Ślub* (tragiczne starcia wynikające z celibatu Templaryszów). Zaznajomił on Niemców ze skarbami świata czesko-słowiańskiego, więc i Niemcy i Czesi go żałują.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się arkusz 6-ty powieści pod tytułem: **Żelazo**.

TREŚĆ. Anna z Lewickich Krajewska, (życiorys), przez M. Ilnicką. — Pozytywizm w praktyce (powieść), przez Sewera. — Wspomnienie poety, życiorys, (dalszy ciąg), przez M. I. — Korrespondencya zagraniczna, (Lwów). — List z zagranicy, J. I. Kraszewskiego, (dokończenie). — Korrespondencya zagraniczna, Wiedeń, (dokończenie).

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 3 Ноября 1882 года.